ŁOWIEC POLSKI



Z wabu łosi. Stękanie. Fot. A. Dobrski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 31 (915) 1 LISTOPADA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–

MISTRZOSTWA

POLSKI, MAZOWSZA I WARSZAWY

W ZAWODACH NARODOWYCH 8–10 LIPCA 1938

ZDOBYTO

PROCHEM „SOKÓŁ"

PAŃSTWOWEJ WYTWÓRNI PWP PROCHU – PIONKI



SKUPUJEMY

SKÓRY Surowe wszelkie, zajęcze, królicze, tchórze, lisie, kuny, kozie, cielęce, bydlęce – wszystkie inne. Płacimy najwyższe ceny. Poszukujemy skupujących. Garbujemy — farbujemy.

FUTRA gotowe dostarczamy – modernizujemy

Pouczające cenniki 25 gr. znaczkiem.

PREPARACJE TROFEÓW MYŚLIWSKICH.

POLSKA CENTRALA SKÓR I FUTER

SP. Z OGR. ODP.

POZNAŃ, UL. M. FOCHA 27-31.

Strzelając dubeltówkami firmy PAUL SCHOLBERG, Liège

Z D O B Y T O

Na IV Ogólnopolskich Zawodach P. W. P. Pionki, 1938 r.

I miejsce w klasie **A** (p. **Wilhelm Ziegenhirte**) i I miejsce w kl. **B** (p. **R. Feill**)

Na XIII Narodowych Zawodach Strzelectwa Myśliwskiego 1938 r.

I miejsce w mistrzostwach Warszawy, Mazowsza i Polski (p. **Wilhelm Ziegenhirte**)
III „ „ „ „ „ (p. **Józef Kiszkurno**)

Na Międzynarodowych Zawodach w Luhaczovicach (Czechosłowacja)

I miejsce w mistrzostwie Świata zespołowo (**Polska**).

Na 4-ch zawodników zespołu **TRZECH** (pp. Kiszkurno, Sztukowski i Ziegenhirte) strzelało z dubeltówek Paul Scholberg, Liège.

WYŁĄCZNE PRZEDSTAWICIELSTWO W FIRMIE „ŁOWIEC", WARSZAWA, WIDOK 22. TEL. 504-93

WIKTOR ŁASTOWSKI



PRACOWNIA WYPYCHANIA ZWIERZĄT I PTAKÓW

oprawa rogów, robienie dywanów, wyprawa skór.

Warszawa, Krak. Przedm. 10, telefon 6-86-78.

Wprost kośc. Ś-go Krzyża

S. KAMOCKI

MILANÓWEK, GRUDOWSKA 12.

Telefon 147

Zakupuje żywe bażanty, kuropatwy i zające

Sieci, personel fachowy do dyspozycji

Płatność gotówką

W celu ułatwienia hodowcom zwierzyny płowej zasilania jej solą pastewną, zadawaną w **LIZAWKACH**

POLSKI MONOPOL SOLNY

od jesieni roku bieżącego przystępuje do fabrykacji **brykietów solnych**

Czas wprowadzenia brykietów, waga ich i opakowanie podane będą do wiadomości.

Dział 7

Pisemne polecenia i adnotacje przełożonych

Data	Treść polecenia
29/IX.1938.	Wszystkich ludzi lasów uważam za braci, wiąże nas wspólne ukochanie lasu. I. Mościcki

Insp. 97 g — X/36. Drukarnia Państwowa Nr 84628.

WIEKOPOMNA CHWILA

W chwilach przełomowych, w chwilach o wielkiej wadze dziejowej, w przededniu wydarzeń, które chwałą Polskę okryły — Pan Prezydent Rzeczypospolitej, mogąc poświęcić wypoczynkowi tylko niewiele czasu — znalazł ukojenie w ciszy lasu polskiego. W jego cieniu Pan Prezydent mógł się oderwać od roztętnionej żywiołowym odruchem całego Narodu rzeczywistości, wykorzystać w pełni krótkie chwile krzepiącego duszę wypoczynku.

W dniu 29.IX.1938 r. Pan Prezydent Rzeczypospolitej zwiedził Puszczę Kampinoską i podczas pobytu w n-ctwie Kampinos wpisał do książeczki służbowej gaj. St. Gutowskiego, który zameldował się Panu Prezydentowi, wiekopomne zdanie.

Zdanie to, świadczące o wielkiem umiłowaniu rodzimej puszczy przez Pierwszego Obywatela i Pierwszego Myśliwego Polski brzmi następująco:

„Wszystkich ludzi lasów uważam za braci, wiąże nas wspólne ukochanie lasu".

INŻ. WŁ. LINDEMANN VON FALKENAU.

W KRAINIE JELENI I NIEDŹWIEDZI

(Z notatnika myśliwego).

19.IX.38... Moje środki lokomocji stawały się coraz prymitywniejsze. We Lwowie porzuciłem pociąg pośpieszny, by z masą walizek, tobołków i paczek znaleźć się w „posiwiałym w pracy" wagonie, bez pośpiechu zdążającym do Stryja. Tutaj wciśnięto mnie wraz z bagażem do korytarza, już raczej zabytkowego wagonu, podrygującego w kierunku Doliny. Dalej wysłużony samochód przewiózł mnie do Wygody, potem znalazłem się w jeszcze starszym samochodzie, odgrywającym już rolę drezyny kolejki wąskotorowej, wreszcie w uroczej kotlinie Sobolu przesiadłem się na własne nogi, które na przestrzeni 6 kilometrów, w towarzystwie licznej eskorty objuczonej bagażami, wyniosły mnie na dziki grzbiet Kiczery, gdzie na polance, otoczonej wspaniałemi świerkami i bukami, widniał malutki i nowiutki domeczek, z dwóch mikroskopijnych izdebek złożony, ze świeżutkich desek sosnowych niedawno zbity.



Król kniei karpackiej.

Jestem jego pierwszym mieszkańcem, mnie też zaszczyt przypadł własnem ciałem go wygrzać i wysuszyć. — Oby tylko nie stało się to kosztem kaszlu i kataru, bo to ani mnie, ani zwierzynie przyjemności nie sprawi.

22.IX. Już od trzech dni o rannym i wieczornym zmroku, jak duch bezszelestnie błądzę po lasach i zrębach mego rewiru i zaledwie raz jeden słyszałem słaby ryk jelenia na Menczełyku. — Widziałem łanie, pasące się w spokoju i niezdradzające żadnego zainteresowania płcią męską swego rodu.

Dziwny to jakiś rok. O tym czasie zwykle rykowisko od paru dni trwa już w pełni, a teraz cisza kompletna. Tłumaczy się to jakoby ciężką dla zwierzyny zimą tegoroczną wobec długotrwałych śniegów, pokrywających góry jeszcze w maju.

Ja to rozumiem, tylko że jelenie może sobie i gody swe załatwią później, ale na mnie czekają już jakieś tam obowiązki i moje rykowisko kończy się najpóźniej za cztery dni.

Byłbym już w czarnej rozpaczy, tembardziej, że na dokładkę w nieszczęściu przeziębiłem się haniebnie w mokrym moim domku, gdyby nie niezwykła wczorajsza wieczorna moja przygoda.

Smętnie sunęliśmy z Wasylem górną ścieżką przez zrąb na Menczełyku. Już minęła godz. 5, a ani jeden głos jeleni nie przerwał ciszy. Idziemy bez specjalnych ostrożności, zrywając po drodze piękne czarne jeżyny. Nawpół zwalone drzewo przecina wpoprzek naszą ścieżkę. Z trudem przedostajemy się pod jego uschłemi gałęziami i... stajemy jak wryci.

Przed nami o 30 kroków stoi duży czarny niedźwiedź. Wyszedł z krzaków jeżyn, obficie pokrywających zbocza. Teraz przystanął, aby się nam przyjrzeć. Trwało to chwilę, poczem powoli pociągnął pod górę, parokrotnie zatrzymując się i spokojnie nam się przypatrując. — Wreszcie na grzbiecie, najdalej o 100 mtr. od nas, zatrzymał się znów, bokiem do mnie i zupełnie już nie interesując się moją osobą, dłuższą chwilę patrzył gdzieś w dół, jakby wiedział, że nie mam odstrzału.

Mój Wasyl trzymał się z początku, póki niedźwiedź stał blizko, cienkiego drzewa, bo na grube niedźwiedź włazi, ja zaś, pełen rozterki, wreszcie zdecydowałem się, choć z raną w sercu, że strzelać nie będę. Złapałem najprzód za lornetkę, przyjrzałem się dokładnie wspaniałemu zwierzowi, podziwiałem jego całkowicie czarne, puszyste futro, świdrujące ślepia, no i... komorę, do której mnie tak ciągnęło! — Zrobiłem również parę zdjęć.

Ale na tem nie koniec, niedźwiedź dał mi jeszcze jeden dowód, że sobie nic ze mnie nie robi. Kiedyśmy ruszyli dalej, przeczekał, zszedł na ścieżkę i spokojnie pociągnął nią, odbijając w paru miejscach swój wspaniały trop na śladzie moich butów. — Ta jego łapka mierzyła 15×21 cm.

Po powrocie do koliby posłałem gońca do Sobolu z opisem swej niezwykłej przygody i zapytaniem, czy w razie powtórnego spotkania mam prawo strzelać.

Koło południa przyszedł do mnie sympatyczny leśniczy z Sobola wraz ze swym pomocnikiem i, po wypytaniu się o szczegóły mego zetknięcia się z niedźwiedziem, zakomunikował mi, że przyznany mi został odstrzał. Tylko, że nadziei na drugie spotkanie oczywiście nie można mieć; zaproponował mi więc raczej przyjazd w końcu listopada i wtedy na przynętę łatwo można niedźwiedzia zdobyć.

Oczywiście i mnie nawet przez myśl nie przeszło, że mogę drugi raz spotkać mego misia, myślałem sobie jednak, że jeśli ubiję jelenia, to spróbuję zostawić mięso na górze i a nuż zwabię go w ten sposób. Myśliwi są zawsze marzycielami.

23.IX. Dziś rano postanowiłem nie wychodzić z domu, gdyż przeziębienie moje przybierało na sile. Tymczasem nietylko wyszedłem, ale i właśnie dzięki dokuczliwemu katarowi, spotkało mnie nowe niebywałe przeżycie.

Przed 5 rano wpadł do mnie Wasyl komunikując, że na Menczełyku ryczy byk bez przerwy. Zerwałem się na równe nogi i po 15 minutach już byłem w drodze.

Byk ryczał u góry w połowie zrębu, żeby więc mieć dobry wiatr, poszliśmy na grzbiet Menczełyku. Nim wydostaliśmy się tam, byk już tylko rzadko odzywał się.

Tymczasem katar zaczął mi paskudnie dokuczać, siadłem więc na pniu, ażeby jakoś po cichu, pod peleryną uporać się z nosem. Opodal na brzegu lasu Wasyl wyciągał uszy w stronę byka.

Wtem coś czarnego przesunęło się wśród krzaków o dwadzieścia parę kroków przedemną. — Pewno duży dzik pomyślałem i momentalnie podniosłem się, łapiąc za broń. Zwierz stanął i w tej chwili z gęstwiny wychylił się łeb... niedźwiedzia. Łeb brunatny, to inny nie wczorajszy.

Zdrętwiałem, uprzytomniam sobie, że mam prawo strzału, krzyżyk lunety leży czysto na nasadzie szyi, naraz błyska mi myśl, czy to nie jest czasem niedźwiedzica z małymi i właśnie stanęła żeby je podciągnąć. Stoję bez ruchu, jak skamieniały — w prawo mam ze 30 metrów otwartej przestrzeni, może wyjdzie tam.

Naraz niedźwiedź spojrzał na mnie i w jednej chwili skoczył w bok w szalonych, a przytem komicznie niezgrabnych susach. Z trzaskiem łamanych gałęzi, błyskawicznie wprost, przeciął otwartą przestrzeń i zginął w gąszczu. Był sam, ale to nie kaczka, oczywiście więc nie strzeliłem. Byłem wprost pod wrażeniem szybkości jego biegu i wtedy uświadomiłem sobie, co to jest być przez niego zaatakowanym z takiej odległości. — Wycelowany strzał zdaje się być wykluczonym.

Stałem oszołomiony niezwykłością tego drugiego spotkania, a potem zaraz opadły mnie najczarniejsze myśli, ba, wprost rozpacz. Jakto, dwa razy spotkać się z niedźwiedziem oko w oko, mieć go tuż, tuż przed lufą i nie módz wykorzystać tych niezwykle szczęśliwych sytuacyj — to dramat! W tem oświetleniu, narazie przynajmniej, zbladła mocno radość z przeżycia tak mocnych przygód łowieckich.

*

Po obiedzie byłem na zrębie Diłoku, ale pusto i cicho tam było. Dopiero około 6-ej, już po ciemku, zaczęły byki ryczeć porządnie. Zdaje się, że rykowisko nareszcie się rozpoczyna.

Czuję się jakoś dziwnie, powiedzmy, jak uczeń przed świętem, od którego czegoś niezwykłego oczekuje. Żal do mego pecha jakoś mnie już nie absorbuje. Przejrzałem mój rynsztunek, przeczyściłem broń, przejrzałem kule, głęboko się zastanawiając, czy na pierwszą, tę rozstrzygającą, wybrać tę z ołowianym końcem, czy też dać pierwszeństwo miedzi. Jednak zwyciężył ołów, gdyż jest to ta sama serja, z której padł mój dwudziestak. Nastawiłem budzik na godz. 3 i wsunąłem się pod wilgotną kołdrę.

24.IX. Był to rzeczywiście najbardziej niezwykły dzień w mojem życiu łowieckiem. Jest już 8-a wieczór, a jeszcze jestem pełen emocji i chwilami opadają mnie wprost wątpliwości, czy to wszystko rzeczywiście miało miejsce...

Szczękając od zimna i wilgoci o 3-ej rano wyskakuję z łóżka, szybko się ubieram, parę łyków herbaty z termosu i już wchłonęła nas czerń nocy i lasu. Jasna plamka latarki elektrycznej wskazuje załamy ścieżki, wyszukuje na niej obejścia błotnistych miejsc, to znów kładki z żerdzi lub polan, czy też chwiejne wysepki z kamieni, rzuconych na błoto. Suniemy jak mary w ciszy tajemniczej i ciemności nieprzeniknionej. Chłód nocy wrześniowej, powietrze ostre i pachnące wilgocią leśną, działają jak eliksir ożywczy. Zbliżamy się do skraju zrębu. Pojedyńcze świerki i buki niewyraźnemi sylwetami zarysowują się na szarzejącem niebie.



Gdzie padł niedźwiedź...

Stoimy, czekając aż się bardziej rozwidni. Niebezpiecznie zapuszczać się głębiej. Jedna łania, nie zauważona w porę, podniesie alarm i tupotem oraz swym szczekliwym porykiem zaalarmuje całe jelenie towarzystwo.

Wdali, koło szczytu Menczełyku, rozległ się przeciągły, tęskny ryk, jakiegoś młodego samotnika. Od-



Wasyl ze skórą niedźwiedzia na ramionach

powiedział mu gdzieś z dołu, od strumienia, inny zakochany. I powoli z różnych stron szarej, mglistej i nieprzeniknionej jeszcze dla oka przestrzeni, odezwało się parę głosów, przeróżnej tonacji i przeróżnego natężenia. Wsłuchani w ten tajemniczy, a tak potężny koncert, silimy się ażeby zrozumieć jeśli już nie jego finezje, to przynajmniej jego podstawowy sens i wymowę. Staramy się wyłowić głos najbardziej interesujący, te rzucane, jakby od niechcenia, krótkie poryki, zdradzające starego byka, prowadzącego stado.

Wreszcie decyduję się iść ścieżką górną. Posuwamy się powoli, ostrożnie naprzód. Naraz stanęliśmy, jak wryci. Z pod żółtawo-zielonego buka nad ścieżką oddzielił się raptownie żółty kształt, trzasnęły gałęzie i przerażony młody jeleń ruszył w susach ku górze. W jednej chwili cały zrąb umilkł. Zakląłem — źle się zaczyna.

Wreszcie pod szczytem odezwał się byk. Ruszamy. Po chwili nowe nieszczęście, dwie łanie z hałasem skoczyły ku górze. To już niesamowity pech, tak dobrze zapowiadający się ranek zdaje się być zmarnowanym.

Zniechęcony przysiadam na zwalonym drzewie. Czerwone słońce przebija się już przez wierzchołki świerków na szczycie. Wszystko wokoło otrząsa się z martwoty, drzewa, pnie, krzewy, trawy nawet nabierają intensywnych barw, jakiejś przedziwnej plastyki i czystości konturów. Narodziny dnia słonecznego, ten cud natury, dziś nie chwyta mnie za serce, raczej gorycz i smutek całkowicie je opanowały.

Jednak jakaś mała iskierka nadziei do ostatniej

chwili zawsze tli się w duszy myśliwego. Dopóki nie opuścił pola, ciągle oczekuje jeszcze jakiegoś cudu, — wzrok błądzi wokoło, wyobraźnia rysuje na tle tego krzewu, czy też tamtej przerwy między drzewami wyłaniającej się, upragnionego zwierza. Jakże rzadko miraże te nabierają realnych kształtów.

A jednak, — zdarzają się cuda...

Wasyl mnie trąca, cały drgnąłem, chwytam linję jego wzroku, nie widzę nic — naraz po drugiej stronie kotliny, na zboczu w jeżynach coś czernieje, porusza się. Jakaś niewidzialna ręka chwyciła mnie za gardło, serce załopotało — to niedźwiedź! Ten wczorajszy, — szepce Wasyl.



Po powrocie do koliby.

Patrzę przez lornetkę, tak to on. Wysuwa się z krzewów, łeb pochylony, wyraźnie zbiera jeżyny. Podniosłem się, stanąłem za drzewem. Mocnym wdechem staram się uspokoić łomocące serce. Podnoszę Mannlichera, odbezpieczam, naciągam przyspiesznik. Mam go w lunecie, sunie powoli o 160 — 170 kroków wzdłuż zwalonego drzewa. Gramoli się na wierzch.

Cały skamieniały, dokładnie celuję na wątrobę, pociągam.

Nieszczęście, — suchy trzask, — niewypał.

Zbieram się cały w sobie, może się jeszcze da uratować sytuację, wolno otwieram zamek, wyciągam nieszczęsny nabój, z bocznej kieszonki z trudem wydostaję inny, ładuję powoli, jak najciszej, zamykam. Podnoszę głowę, patrzę, jeszcze chwila i zemdleję — niedźwiedzia niema!

W prawo za świerkami, wyżej! — szepce Wasyl.

Jest, przesunął się o kilkadziesiąt kroków w górę, ledwie go dostrzegam w gąszczu. Stąd jednakże strzelać nie mogę, muszę przedostać się w prawo, parę kroków do następnego drzewa. — Jaknajciszej, byle nie trzasło, byle się nie potknąć, może mnie nie zauważy, myśli burzą się wprost w głowie, co za wysiłek!

Doszedłem, znów serce, znów oddech.

Celuję między żebra. Strzał. Niedźwiedź padł, jak piorunem rażony. Ledwiem zdążył trzasnąć zamkiem, już wstał. Strzelam na łopatkę. Poderwał się i przekręcił się drugim bokiem do mnie. Błyskawicznie posyłam mu jeszcze dwie kule i brunatna plama wreszcie znieruchomiała.

Jakiś olbrzymi ciężar spadł mi z serca, jakiś nowy radosny świat przede mną się otworzył. Mój pierwszy niedźwiedź, ubity w spotkaniu, po tylu emocjach, co za szczęście.

Patrzę i jeszcze nie wierzę.

— Leży?

— Leży — odpowiada Wasyl szeptem.

Ocieram pot z twarzy, zapalam papierosa, uśmiecham się sam do siebie, rzeczywiście leży.

Powoli podchodzimy, dłuższą chwilę stoimy nad nim, martwy.

Zaczynają się badania. Futro zimowe, łapy 14×20 cm., długość od nosa 180 cm, łeb zgrabny, potężny. Jestem zachwycony.

Kule — pierwsza przeszła na wylot przez wątrobę, dwie na łopatkach, jedna na komorze. Co za potworna siła żywotna.

Zdjęliśmy skórę i Wasyl ze wspaniałem futrem, ja ze skrzydłami na ramionach, zeszliśmy do koliby.

Teraz, kiedy całą tę przygodę rozpamiętywam, wydaje mi się ona jakąś piękną bajką. Wydaje się rzeczą nie do wiary, ażeby w ciągu czterech dni można było w Karpatach spotkać się oko w oko trzy razy z niedźwiedziami i, po złożeniu dwóch spotkań w ofierze zasadom myśliwskim, w trzeciem jednak zdobyć to bodaj najcenniejsze z naszych trofeów myśliwskich.

A jednak tak los szczęśliwy zrządził. Wbrew wszelkiej logice faktów i teorji prawdopodobieństwa, które znalazły swój trafny wyraz w uwadze jednego z myśliwych, zebranych w Sobolu w chwili, kiedy nadeszła odemnie wiadomość o spotkaniu pierwszego niedźwiedzia i z prośbą przyznania mi odstrzału: — Dobry jest ten pan R., dziś zobaczył niedźwiedzia i już chce mieć odstrzał, bo niedźwiedź będzie napewno na niego jutro tam czekał. Zobaczy go za cztery lata.

Kiedy w dwa dni potem oglądał piękną skórę, ze śmiechem powiedział mi, co o tem myślał i dodał: — okazuje się, że w łowiectwie niema sytuacyj beznadziejnych.

JANUSZ REGULSKI.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc listopad.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

NAD BIAŁYM CZEREMOSZEM

Dziwnie piękną krainą jest łańcuch Karpat Marmaroskich, którego niewielka część stanowi najbardziej na południowy wschód wysuniętą granicę ziem naszych. Szczęśliwy los zrządził, że mogłem wziąć udział w wyprawie w tamte strony, w wyprawie niebylejakiej, na rykowisko jeleni, a więc wtedy, gdy góry stroją się na jelenie gody w najpiękniejszą szatę ze złota i purpury.

Aby późnym wieczorem dobić do stai, mojej rezydencji na dni czternaście, trzeba było przebyć z dworca kołomyjskiego najpierw coś 180 km taksówką, a potem niby to konno, na huculskim koniku, podbijałem się z kamienia na kamień od 6 rano do 11 wieczorem, drapiąc się bądź stromo do góry, to znów spuszczając z pieca na łeb, wciąż nad huczącym w gardzielach skalnych Białym Czeremoszem. Urocza droga. W całej Polsce nie znajdziesz podobnej. Dotrzeć w tamte strony, to wyprawa w całym słowa tego znaczeniu. Wszak na cały czas pobytu trzeba zabrać ze sobą wszystko co potrzebne do przeżycia dni kilkunastu. Do najbliższego osiedla jest coś dzień marszu.

Towarzysze pozostawali w bliższych nieco rewirach, ja znalazłem się w najdalszym, obejmując w posiadanie staję pod połoniną „Seredną". Staja jest to sobie spora, jak na górskie zwyczaje, szopa, zbudowana z okorowanych bierwion świerkowych, z jednym urzędowym otworem wejściowym, czyli drzwiami, oraz mnóstwem szpar, któremi wiatr hula we wszystkie strony. Okien brak, ale dla zbadania pogody czy innych wydarzeń na zewnątrz, wystarczają szpary pomiędzy bierwionami. Latem siedzą tu pasterze huculscy, czego wymownym śladem jest fantastyczna wprost ilość maleńkich, czarnych, znakomicie skaczących owadów. Zaopatrzony obficie w proszek Flit, bronię się przed atakami, ale moi towarzysze, gajowy i Hucuł, pomimo tradycyjnego, odwiecznego współżycia z owadami, naogół dość pogodnego, nocami przeklinają srodze i wytrząsają nad ogniskiem zawartość kożucha, koszuli i t. d. Bardzo im współczuję, ale Flit zachowuję dla swego osobistego bezpieczeństwa.

Dziwny to kraj, Huculszczyzna, a jeszcze dziwniejsi Huculi. Jakaś pozostałość, relikt, zamierzchłych czasów, kiedy górskiemi szlakami różne szczepy wędrowały ku północnemu zachodowi, czy może też i w przeciwnym kierunku. Nastąpiła mieszanina krwi i zwyczajów, nazw i ubiorów. Nietylko rumuńskie, czy raczej wołoskie nazwy powtarzają się na każdym kroku. Znajdziesz i tatarskie, ba nawet niektóre Persją zalatują. Ponoć w Persji góry określają mianem „gorgan", a pasmo Karpat od Prutu aż po Świcę właśnie Gorganami przezwano. Znów szereg szczytów wśród Gorganów, zwie się Arszycami, coś, co przypomina słowo arszyn, rosyjską miarę długości, ale dźwiękowo zalatującą tatarszczyzną. Ostatni ślad wielkiej wędrówki, straszny ślad, zostawiły Huculszczyźnie wojska rosyjskie, ciągnące na pomoc władcy Austrji przeciwko broniącym swej niepodległości Węgrom. Sto lat blisko mija, a pamiątka krwi przez moskiewskich żołdaków pozostawiona, wciąż przeżera Huculszczyznę.

Barwnym i dzikim jest relikt huculski. Bawi oko turysty, ale wątpliwem jest, czy bezgraniczne zachwyty, tak częste i modne, są dostatecznie uzasadnione. Wszak do dziś mieszkańcy górskiego zakątka nad Prutem i Czeremoszami chętniej w swem życiu stosują się do zwyczajów, niż do prawa pisanego, a wątpliwem byłoby, czy zwyczaje te mogłyby być wzorem godnym naśladowania dla innych.

Odbiegłem od mej stai pod Seredną i trzeba wracać do niej. Rozkoszuję się wspaniałym widokiem. Wzrok sięga daleko za Czeremosz, na Bukowinę. Dalej na południe widnieją dzikie szczyty Alp Rodniańskich, a przed nimi i na prawo Karpaty Marmaroskie. Mienią się góry wspaniałemi barwami w potokach wrześniowego słońca, to znów toną w morzu mgieł. Mieszkam dość wysoko, ponad granicą lasu, więc około 1600 mtr. n. p. m. Powyżej stai połonina, a jeszcze wyżej wielkie pole kosówki, przerywane mniejszemi łąkami, pełne krętych ścieżek, zwierzowi dzikiemu tylko dostępnych, poplątanych zdradliwie. Niebezpiecznie zapuszczać się w pole kosówki, można nie znaleść wyjścia, zwłaszcza, gdy kosówka, jak na Serednej czy Gropie, zajmuje wielkie przestrzenie płaskich prawie szczytów. Poniżej stai szumią potoki zasłonięte lasem świerkowym. Szumią, zeskakują z progów skalnych, biegną z uporem do Czeremoszu, aby w nurcie jego zespolone głośną, radosną gromadą popłynąć hen w dół, do Prutu.



Pod Seredną. Fot. J. Błeszyński.

Wczesnemi rankami, skoro pierwszy brzask rozjaśni niebo nad szczytami Bukowiny, oraz w godzinach popołudniowych aż do zmroku, gonię za jeleniem po potokach, zboczach i wyżej po kosówce, nad połoninami. Za ułudą jelenia. Trudno inaczej nazwać, skoro słychać wciąż jego majestatyczne wezwania do boju z rywalami, a gdy jest się już niedaleko, zdaje się ręką można byka sięgnąć, to jednak w mrocznej kniei pozostaje on niewidzialnym. Raz czy dwa, zdala, na wielką odległość widziałem dwie łanie i byka, ale słabego. Nie wart był zachodów i strzału. Innym razem, gdy ryczący byk znikł mi ze swym haremem z przed samego nosa, nadbiegł na kilka kroków młody byczek. Stał chwilę zaciekawiony niecodzienną nieruchomą zjawą, dopiero błysk słońca w lufie sztuceru spłoszył go. Czasami zapędzam się z gajowym daleko od stai, prawie nad sam Czeremosz. Trzeba się wtedy piąć z powrotem przez dwie godziny i powrót jest w południe.

Trzeba odpocząć, poleżeć na świeżej czetynie(drobno nacięte gałązki świerka), posłuchać opowiadań gajowego, Hucuła. Ot, dlaczego nie pokazał się Droniek, doskonały tropiciel i przewodnik myśliwski na rykowisku, oczywiście znakomity kłusownik jednocześnie. Zamknęli go przed samem polowaniem. A za co? Za kłusowanie? Nie, za złoto. Za jakie? Było to tak. Żyło sobie nad Czeremoszem, w Jabłonkowie czy Hryniawie, dwu braci, przezywanych Kotikami, tak bowiem umieli cicho zjawiać się i znikać, jak koty. Jeden trudnił się głównie przemytem, powiedzmy Iwan, drugi był rzezimieszkiem znakomitym, niech mu będzie Wasyl. Istniał pewien podział pracy i zgodnego działania braci. O Wasylu krążyły przeróżne opowieści, sławiące jego zdolności. Raz ponoć zdarzyło się Wasylowi wędrować do Kosowa. Droga daleka, zwykle nocować trzeba na pół drogi w karczmie na Bukowinie, przełęczy dzielącej wody Czarnego Czeremo-

szu i Prutu. Zaszedł Wasyl wieczorem do karczmy, ludzi pełno, są i gajowi, i huculi, jest i patrol policji z Kosowa. Żyd karczmarz zadowolony z dobrego targu przysiadł się do znakomitszych gości, między którymi nie brakowało Kotika. Zgadało się o kradzieżach, złodziejach i innych przygodach. Żyd chwalił się, że nigdy nie dał się okraść i nigdy się nie da, przy sobie nosi zawsze nabity rewolwer, na noc kładzie go pod poduszkę. Wasyl zaproponował zakład o sto złotych, gdyż żyda pewno wkrótce okradną. Karczmarz roześmiał się, zakład przy świadkach, przy policji, przyjął. Rozmowa przeszła na inne zagadnienia. Wasyl postawił jeden i drugi litr śliwowicy (rumuńskiej, trzeba popierać brata), poczęstował gospodarza, ten nie pozostał dłużny. W czasie niefrasobliwej gawędy, gdy już dobrze pociemniało, Wasyl nieznacznie pootwierał zasówki przy oknie, pod którem usiadł.



W drodze nad Białym Czeremoszem. Fot. J. Błeszyński.

Wkrótce potem wstał, przeciągnął się, pora mu w drogę, musi być wcześnie rano w Kosowie, w sądzie. Nie dziwota mieć termin, a jeszcze Kotikowi. Pożegnał się Wasyl i wyszedł przed karczmę. Ciemna noc bezksiężycowa. Zajechały wozy, jacyś Huculi z Żabiego chcą nocować. Poco mają żydowi płacić drogo za siano, on, Wasyl, ma swoje stogi niedaleko, za połowę ceny da im tyle, ile zechcą. Poprowadził. Ale wnet pozostał nieznacznie w tyle, nabrał w garści kamieni, a dłonie miał olbrzymie i jak nie zacznie prać przerażonych woźniców. Zacięli konie i galopem znikli w ciemnościach. Nie wrócą. Pozbył się Wasyl świadków i wrócił pod karczmę. Podszedł pod okno do otwarcia przygotowane. Śpią już wszyscy, słychać miarowe chrapania. Pociągnął okno, otworzyło się bez trudu. Znów słucha. Cisza, śpią. Już jest w karczmie, przesuwa się jak kot, on Kotik, pomiędzy śpiącymi. Już jest w izbie karczmarzy. I oni śpią głęboko. Pierwszy sen, najmocniejszy. Wasyl sunie do żyda, zabrał zegarek, dobrze wypchany portfel z pod poduszki, teraz szafkę przy łóżku otwiera. Skrzypnęła. Ocknął się żyd: a kici, pójdziesz... przewrócił się na drugi bok i znów śpi. A Kotik nie uciekł, stał spokojnie koło żyda, a teraz opróżnia szafkę z dolarów. Zamyka, znów skrzypi. Budzi się żydówka i pyta męża: Co jest? Kto spać nie daje, a pójdziesz kocie. Ciemno, nie widzą „Kota" co koło nich stoi. Śpią dalej. Ale obudził się któryś z gości. Wasyl nie czeka. Szybko staje na łóżku żydówki, co jest pod oknem, okno otwiera i już przepadł wśród cieni nocy. Tylko okno za sobą zamknął. Skoro świt już w Kosowie, czart chyba tam go tak szybko zaniósł. Pieniądze pożyczył gospodarzom, gotówki zostawił sobie tylko tyle, ile zwykł był miewać. Niezadługo z gwałtem i krzykiem wpada do Kosowa karczmarz, z nim policja, gajowi. Szukają Wasyla. Nie trzeba go szukać. Stoi na rynku, nie ukrywa się. O niczem nie wie, od rana jest w Kosowie, cóż go obchodzi wydarzenie nocne. Biorą Wasyla na śledztwo. Wypiera się wszystkiego, pieniędzy wiele nie ma, a przecież trochę mieć mu wolno. A co, żyda okradli? No, to płać żydzie zakład, dawaj sto złotych, przegrałeś, wszak policja świadkami. Ponoć gdy żyd i sędzia i policja solennie wyrzekli się wszelkich dochodzeń i skarg, a żyd sto złotych przegranych wypłacił, opowiedział Kotik całe wydarzenie. Innym razem, przechodząc przez wioskę, zauważył weselisko. Gdy pociemniało, zakradł się do komory i do darów weselnych dobierał się. Usłyszeli goście weselni szmery. Idą ze światłem. Kotik stanął w kącie, drży ze stracu, ręce składa, o zmiłowanie prosi, więcej nie będzie. Choć bardzo rozsierdzeni byli weselnicy, ale jakoś po sobie spojrzeli. A Wasyl skoczył, pana młodego łbem w brzuch, że tylko nogami się nakrył i zanim weselnicy oprzytomnieli, znikł z komory. Trzeba cucić pana młodego, trzeba o wszystkiem ugwarzyć w izbie. Wasyl wrócił i z komory co lepszy przyodziewek zabrał. Postrachem był Kotik dla całej Huculszczyzny. Z więzienia umiał uciec, jeszcze karabiny przynosił. Grabił zamożniejszych, ubogich często obdzielał, więc i przyjaciół i zaufanych miał wszędzie wielu, którzy go kryli i o niebezpieczeństwie czy możliwościach grabieży powiadamiali. Do większych wyczynów miał towarzyszy. No, ale cóż to wszystko ma wspólnego z Droniekiem? No, bo Droniek był przyjacielem żony Iwana Kotika. — ? —. Było to tak. Przychodzi raz podróżny do Iwana i pyta się: jest Iwan Kotik? Jestem. A ten zaraz daje dużo pieniędzy i prosi o przeprowadzenie na rumuńską stronę. Iwan pieniądze wziął, na podróżnego popatrzył. Z miejska, dostatnio ubrany, tylko małą walizeczkę ma ze sobą. Znużeniście bardzo, połóżcie się trochę w komorze, pójdę do wsi przepatrzeć, kto i gdzie dziś nocą będzie stał na placówkach. Ledwo podróżny oczy zamknął Iwan walizeczkę otworzył. Pełno złotych monet: dolary, funty, ruble. Zabrał Iwan złoto, walizkę zamknął. Złoto dobrze schował i do wsi poszedł. Ale żona podpatrzyła i tylko oddalił się dosyć, a już znaczną część skarbu do innej kryjówki przeniosła. Wie co robi. Dla kochanka potrzebuje. Wrócił Iwan, a za nim policja. Zdradziłeś, woła podróżny, a za chwilę: okradłeś: O niczem takiem Iwan nie wie. Podróżnego zabrali, a Iwan ze zdwojoną pilnością przemytem się trudnił. Boi się złota pokazywać, zmienia je w Rumunji na śliwowicę. Jest dostawcą na wszystkie wesela, do każdej karczmy. Dobrze mu się powodzi, hula też, ile może. Wnet się Wasyl zmiarkował w poprawie gospodarczej brata, przecież po rumuńskiej stronie Iwana uważają za bogacza. Żąda Wasyl udziału w zyskach. Coś mu tam Iwan dał, ale nie tyle, ile Wasyl żądał. Pokłócili się raz i drugi, aż kiedyś rankiem wyłowiono zwłoki Iwana z Czeremoszu. Posądzono Dronieka, boć o kochaniu się z żoną Iwana wiedziano. Ale Droniek krytycznej nocy był daleko, gdzieś w lasach Jełowiczory. Nocował z innymi drwalami w kolibie. Nie mógł 30 kilometrów przefrunąć. Szeptano coś o Wasylu, który przepadł jak kamień w wodę, ale bano się oskarżyć, świadków nie było. Orzeczono: Iwan utopił się. Jednego przemytnika mniej, ktoby się tam zbytnio o to troszczył. Dla Dronieka nastały złote czasy. Dosłownie złote. Wdowa po Iwanie niczego kochankowi nie żałowała. On, co dawniej bez lasu żyć nie mógł, teraz z chałupy nie wychodził. Baba wszystkiego pod dostatkiem znosiła. Tylko cichaczem zmienić jeden krążek, a nadługo wystarczało. Kiwali ludzie głowami, dziwowali się bardzo, popytywali nawet Dronieka, mówił, że z oszczędności żyje. Minęło sporo czasu. Gajowy Plichtiak, porządne do kości chłopisko, przechodził na emeryturę. Zasobny był dosyć, poczęstować towarzyszy lubił, stać go było. Sposobność pożegnania się z towarzyszami była niebylejaka. Pojechał na targ do Kosowa, sprosił obecnych gajowych, znajomych co lepszych, posterunkowych, nawet przodownika, postawił w karczmie nie

jeden litr śliwowicy. Gdy już dobrze podpili, puścili się w tany. Plichtiak wykrzesał hołubca, aż trzasł pasek i srogie kłopoty opadać zaczęły gajowego. Puścił tanecznicę, ręce na pokaźnym brzuchu zacisnął, chcąc ratować się w opresji. Ale nieszczęścia lubią chodzić w parze. W najdrażliwszej chwili posypały się na podłogę złote krążki. Plichtiak wnet otrzeźwiał, jedną ręką trzyma odzienie, drugą złoto pozbierał. Ochota mu do zabawy odeszła. Poszedł rachunek płacić. Brakło mu złotych, zastawił u karczmarza jeden złoty pieniądz, jutro wykupi. Widział to przodownik, chociaż przyjaciele, ale służba nie drużba. Oglądnął zastawiony złocisty krążek, niewiele wymiarkował, tyle tylko, że pieniądz zagraniczny. Doniósł swej władzy i wnet Plichtiak musiał wyśpiewać, jak do złota zagranicznego doszedł. Coś tam w areszcie przesiedział, złoto oddał, z aresztu wyszedł i wyrzekł się giełdowych operacji na zawsze. Musiał jednak powiedzieć od kogo złoto dostał. Od wdowy po Iwanie Kotiku. Skończyły się złote czasy dla Dronieka. Powędrował z wdową do aresztu. Sam niewiele wiedział, ale babę dotąd pytali, aż wreszcie o wszystkiem rozpowiedziała i resztę złota wydała. Długo się ponoć trzymała, twarda była bardzo, ale jej poradzili. Nie dziwota, że skarbu wydać nie chciała. Dobrze jej było z chłopem. Teraz znów bieda przyjdzie.

Że też musiała ta heca wypaść na czas rykowiska. Cóż, że Dronieka wypuszczą, boć mało był winien, kiedy mnie tu już nie będzie. A tymczasem dni lecą jeden za drugim, żywność się kończy, straciłem na wadze chyba z połowę, biegam po zboczach już jak kozica, ale jelenie wciąż tylko słyszę, a do strzału dojść nie mogę, nawet zobaczyć porządnego byka nie sposób. Jakieś widłaki, szpiczaki pokazują się czasami, ale „on" władca haremu pozostaje niewidzialnym. Już ostatni dzwonek. Pojutrze opuszczamy góry. Wracamy. Taką wiadomość dostałem od najbliższego sąsiada. Więc nie żałuję nóg i cały dzień prawie przepatruję knieję. Wilki kręcą się od dwu dni, to i jelenie umilkły. Straszny to wróg wszelkiego żywego stworzenia. Zwinny, szybki, o straszliwej sile w szczękach i karku. Tylko niedźwiedź nie zwraca uwagi na wilcze tropy, tylko jeszcze stary odyniec ufny w swe szable spokojnie nadal żeruje. Wszelki inny zwierz zaszywa się w niedostępne gąszcza, gdy tylko zwietrzy tropy wilcze w swej ostoi.

Cisza pod Hnitessą, cisza pod Gropą, głucho nad Czarnym Potokiem i nic nie słychać pod skałą, którą skorus (jarzębina) złotem i czerwienią przypruszył. Oglądam tropy dwu niedźwiedzi, co ostatniej nocy płajem przechodziły, mała to jednak pociecha. Źle. Pod wieczór zasiadam nad jedynym zrębem, zarosłym wysokiemi trawami i gęstemi kępami świerka. Może coś się ukaże. Pokazał się rzeczywiście widłak, pożerował i poszedł, potem przeszedł słaby ósmak. Coś przynajmniej widziałem. Gajowy zasnął tymczasem w najlepsze. Charcze, jakgdyby go zarzynano. Oj, baranie jeden! Nie dość, żeś w podkutych butach przyszedł podprowadzać i zgrzytasz na każdym kamieniu, potem niewiele brakowało, a spaliłbyś staję, gdym cię raz zostawił na odpoczynek, dobrze, że się na osmoleniu dachu skończyło, teraz znów na podchodzie zasypiasz. Śpijże sobie smacznie. Pójdę dalej sam. Może prędzej coś spotkam. Westchnąłem do św. Huberta, aby się nieco łaskawszym dla wiernego sługi okazał. Wróciłem na połoninę Zadną i płajem w stronę Gropy pomału idę. Drgnąłem. Basowy głos doleciał z pod Gropy, gdzie połonina pomiędzy lasem i kosówką tworzy małą płaszczyznę, gęsto szczawiem porosłą. Naprzód! Najpierw zbiegam do potoku, potem płajem pnę się stromo do góry. Od czasu do czasu dolatuje mnie ryk jelenia. Ile sił — naprzód! Słońce już za Gropą, długie cienie kładą się aż na rumuńską stronę, hen daleko, aż za Czeremosz. Wreszcie wydostałem się dość wysoko, aby przez szkła zbadać szczawy pod kosówką. Jest! Jest byk i dwie łanie. O, znów ryczy, wieniec położył na grzbiecie i rzuca bojowe wyzwanie. Niech się jakiś śmiałek odważy wkroczyć w jego władztwo. On mu pokaże. Daleko są jelenie, trudno osądzić wieniec, ale widać, że dość dobrze rozłożony i z koroną. Więc godny jest strzału. Teraz trzeba obmyśleć podejście. Wprost iść nie sposób. Pole zwartej kosówki. Płajem zajdę zbyt wysoko i będę zbyt widoczny. A muszę pamiętać, że luneta uszkodzona i nie mogę z niej skorzystać, trzeba blisko podejść. Zbiegam do potoku kilkadziesiąt metrów, korzystam z szumu wody, który głuszy moje kroki.



Pewny będę trzymając rękę na wieńcu. Fot. J. Błeszyński.

Wiatr też jest dobry. Teraz do góry, pomiędzy skrajem lasu i kosówką. Jaknajszybciej. Każda chwila droga, wystarczy bowiem, aby jelenie przeszły kilkadziesiąt metrów, a znikną w polach kosówki, a tam już ich nie znajdę, zwłaszcza przy zapadającym zmroku. Im wyżej, tem muszę iść ostrożniej. Jeszcze dwadzieścia, jeszcze dziesięć kroków, już widzę pole szczawiu, ale widzę i jelenie, mogą i one mnie zobaczyć w każdej chwili. Posuwam się teraz powoli, krok za krokiem, wykorzystuję każdy krzaczek, każdą gałązkę, aby się kryć, aby dotrzeć do samotnego świerka, co stoi w połowie odległości pomiędzy mną a jeleniami. Będę miał wtedy nieco mniej, jak sto pięćdziesiąt metrów, można wytrzymać. Cóż, kiedy do świerka jeszcze kilkadziesiąt metrów, a jelenie pomału, ale coraz zbliżają się do kosówki. Już jedna łania zniknęła, za nią druga. Byk też za niemi idzie—jeszcze raz zatrzymał się i ryczy. Niema na co czekać. Składam się, mierzę bardzo starannie. Zahuczał strzał, odbił się echem po rumuńskiej stronie i przepadł gdzieś w otchłani mrocznych świerków nad Czeremoszem. Bykiem rzuciło w przeciwną stronę i znikł. Chwilę stoję w miejscu, jak urzeczony. Ale już biegnę na miejsce strzału. Pustka. Coś tylko łamie w lesie, poniżej na zboczu. Z każdą chwilą ciemniej. Trzeba wracać do stai a jutro skoro świt poszukać. Pewny

jestem strzału, ale pewny będę dopiero, trzymając rękę na wieńcu.

Uwarzyłem swój posiłek, wyczyściłem sztucer, kiedy wreszcie dalekie światełko elektrycznej lampki obwieściło powrót gajowego. Wyspał się rzetelnie, ale minę ma djablo głupią. O spaniu mowy niema. Przewracam się z boku na bok, nie mogę się świtu doczekać. Wreszcie zajaśniało niebo i wyruszamy na miejsce wczorajszego spotkania. Szukam na miejscu strzału, ani sierści, ani jednej kropli farby. Coprawda na rdzawych szczawach niełatwo farbę odszukać. Nie wywołuje to u mnie zachwytu. Gdzie szukać? Przedewszystkiem poniżej na zboczu, do potoku, gdzie wczoraj po strzale łamało. Poszedł gajowy z Hucułem. Coś nie mam przekonania do tego poszukiwania. Usiadłem pod skałą, skąd wspaniały widok na przepaść pomiędzy Gropą a Hnitessą. Słońce ozłociło wierzchołki, niebo bez chmurki. Wtem wzrok spoczął na białym błysku pod krzakiem jałowca, na pół zbocza przepaści. Co to być może? Czyżby? Nie chcę się łudzić, powoli, zupełnie powoli, podnoszę szkła do oczu. Tak, to białe końce wieńca błyszczą w promieniach słońca. Krzyczę całą piersią: J e s t !

JERZY BŁESZYŃSKI

WAB ŁOSI W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ W 1938 ROKU

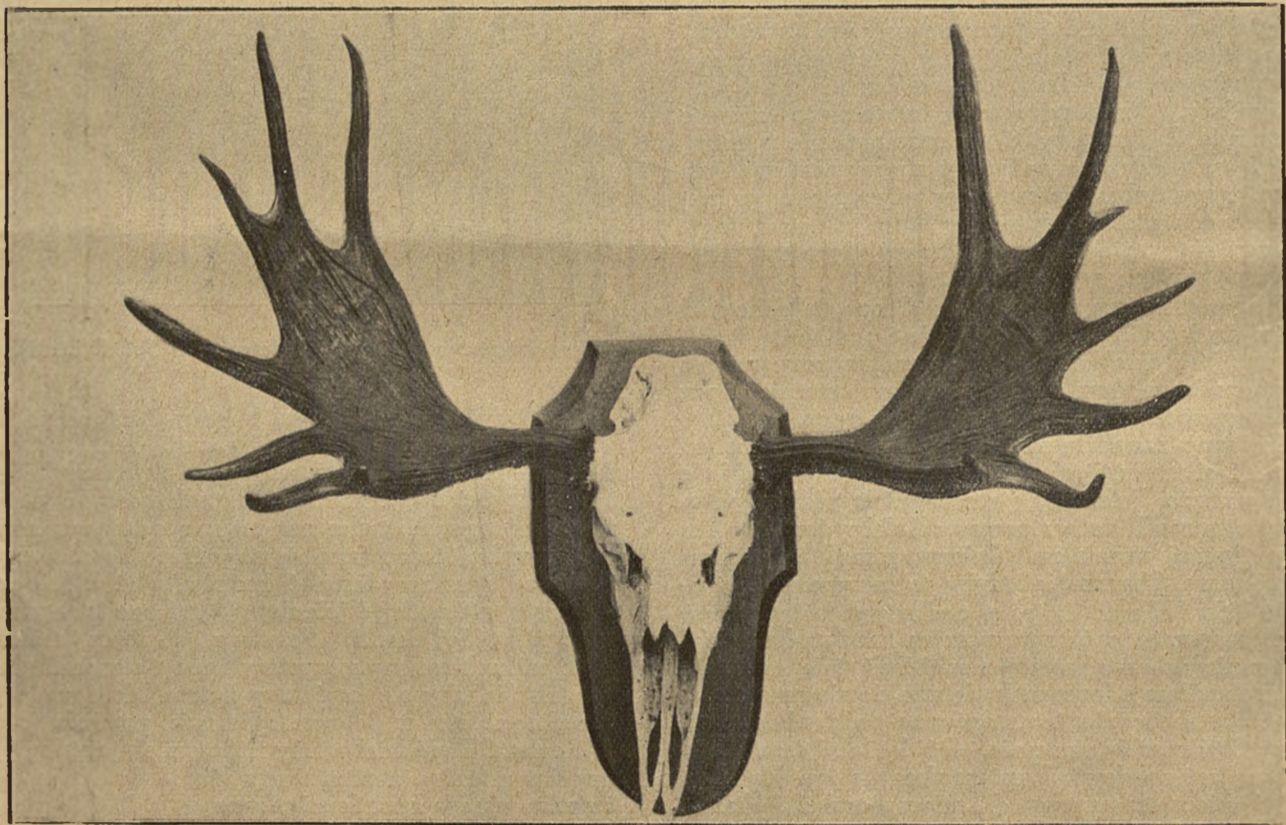
Wab łosi w roku bieżącym rozpoczął się już dnia 25 sierpnia, pod znakiem niedźwiedzia i łoszy, która napada na ludzi.

Niedźwiedź dokonawszy dużego spustoszenia wśród łosi, a głównie łoszuków — z nastaniem jesieni przeszedł na kuchnię wegetarjańską i zabawił się w pszczelarza. Wybierał miód z uli i barci, nawet z tych które znajdowały się przy samych gajówkach. Mój szwagier Ks. Hieronim Radziwiłł wziął miarkę jego śladu na piasku. Jegomość ma stopę długości 29 centymetrów, a szerokość łapy wynosi $17^1/_2$ centymetrów. Przypuszczałem, że ktoś z myśliwych w czasie wabu łosi, spotka się z nim, ale staremu samotnikowi nie zbywało na chytrości; umiejętnie unikając myśliwych, wychodził na spotkanie gajowym — jakby z nich drwił. Mam wrażenie, że tym razem może zechce u nas zimować, a wtenczas inaczej z nim pogadamy.

Niebezpieczna dla myśliwych była łosza, ale że wszyscy myśliwi w tym roku byli lekkiej tuszy, w razie czego mogliby z łatwością powłazić na drzewa; co zaś do mnie, gdyby zaistniała konieczność takiej obrony, wiele dałbym za to, aby widzieć siebie włażącego na drzewo. Ale chwała Bogu, nikt z myśliwych a również i ja nie spotkaliśmy tej łoszy, jedynie gajowi raz siedząc w budanie nad jeziorem Lubochna ujrzeli ją po drugiej stronie. Łosza najspokojniej przepływała jezioro i chociaż ogień palił się przed budanem zmusiła 6-ciu gajowych do schronienia się na drzewo.

Stan łosi jest doskonały — powtarzali mi to wszyscy myśliwi. Nie było podchodu aby łosi nie widziano. Ubito: Jenerał Kazimierz Sosnkowski 6/6 i 5/4, Pan Kazimierz Popiel 6/7, Pan Karol Ender 4/5 i 6/7, Pan Stefan Ender 4/3, Hrabia Władysław Tyszkiewicz 4/4, Ks. Józef Jabłonowski 8/6, ja 7/8 i 7/7.

KAROL RADZIWIŁŁ.



Punktacja łosia 7/7 zabitego przez Księcia Ordynata Karola Radziwiłła w Ordynacji Dawidgródeckiej podczas wabu w r. 1938.

	Miara w cm.	Iloczyn	Ilość punktów
1. Suma obwodów obydwóch badyli	38	1	32
2. Rozłoga czyli rozpiętość rosoch	124	0,5	61.5
3. Średnia z długości obydwóch łopat	107	1	99
4. Suma obydwóch szerokości łopat	31	2	86
5. Średnia długość wszystkich pasemek		1	14
6. Za ilość pasemek		4	4
7. Siła, masa, piękno			10
8. Potrącenie za usterki budowy			
	Razem		306,5



Punktacja łosia 7/8 zabitego przez Księcia Ordynata Karola Radziwiłła w Ordynacji Dawidgródeckiej podczas wabu w r. 1938.

	Miara w cm.	Iloczyn	Ilość punktów
1. Suma obwodów obydwóch badyli	38	1	38
2. Rozłoga czyli rozpiętość rosoch	124	0,5	62
3. Średnia z długości obydwóch łopat	107	1	107
4. Suma obydwóch szerokości łopat	31	2	62
5. Średnia długość wszystkich pasemek		1	17
6. Za ilość pasemek		1	5
7. Siła, masa, piękno			10 } 7
8. Potrącenie za usterki budowy			3 }
	Razem		298

PIERWSZE TROFEA

„Któż z nas tych lat nie pomni, gdy młode pacholę ze strzelbą na ramieniu — świszcząc szedł przez pole". Któż z nas nie pamięta do dziś dnia okoliczności, w jakich zabił pierwszą kaczkę, czy pierwszego w życiu szaraka? Lecą dni i miesiące, płyną lata. Ciężar czasu pachylił nasze barki, szron siwizny pokrył skronie, a jednak tamte chwile, dawne młodociane przeżycia są zawsze żywe, piękne i drogie. I im bardziej się starzejemy — tem chętniej biegniemy myślami do owych lat, budzimy w sercu wspomnienia „jurnej i durnej" młodości, pierwszych poczynań myśliwskich i pierwszych trofeów.

A dziś patrząc na fotografję młodocianego nemroda — Tadzia Laskowicza, z pierwszym szarakiem i pękiem kaczek — przenieśmy się w krainę odległych przeżyć naszych własnych. Zamknijmy oczy, a jak w kalejdoskopie zjawią się luźne, oderwane fragmenty, tak dobrze nam znane obrazki myśliwskie. Przeżyjemy je dziś raz jeszcze, choć we wspomnieniach!

Czerwone, zachodzące słońce lipcowe kładzie na wodę ostatnie gorące pocałunki. Niebo pokryło się rozległą skalą barwnych obłoków.

Cisza. Nagrzana ziemia tchnie upalnym żarem, który mile łagodzi rzeźki, chłodny dech wody.

W stawie pluskają ryby w pogoni za srebrnoskrzydłą jętką.

Naraz gdzieś daleko rodzi się tajemniczy, ostry dźwięk, rośnie, potężnieje, zbliża się.

Fiu — fiu — fiu — fiu — fiu — fiu — pa — pa — pach.

To stadko kaczek usiadło na stawie. Rozchodzące się daleko kręgi wody wskazują miejsce ich pobytu. Są tam, koło trzciny, przy kępie szczawiu! Wolno z łanu tataraków wysuwa się czarna sylwetka strzelby. Ręce drżą, muszka skacze raz po raz z ciemnej plamy kaczki na lśniącą taflę wody, łomot serca przytępia słuch. Wreszcie błysk ognia i huk, a bezpośrednio po nim szmer wzlatującego stada. Ale na stawie coś pozostało, coś — co rusza się i błyska śnieżną bielą, wreszcie nieruchomieje na zawsze.

Wydech! Głęboki, szczery, pełen niewymownej ulgi wydech i jeszcze jedno nieufne spojrzenie w kierunku trzcin. Jest. Jest napewno!

Trzaskają wątłe guziki pod naporem silnych, zdenerwowanych palców. Części ubrania jak zbędne łachmany opadają na zieloną darń. Jędrne, lśniące chłopięce ciało chlasnęło ochoczo w zimną i błotnistą toń, płynąc ku zdobyczy. Zielone pnącza traw oplatają nogi i ramiona, złośliwa, krwiożercza pijawka przytwierdziła się na plecach. Nic to! Tuż przed nim pływa kaczka, pierwsza w życiu samodzielnie upolowana kaczka. Przy niej zapomina się o chłodnej wodzie, komarach, o pijawkach, ba, nawet o gniewie rodziców, zaniepokojonych nieobecnością syna. Dziś ta kaczka — to wszystko!

Jesień. Blade spłowiałe słońce nie wypiło jeszcze bujnej porannej wilgoci, okrywającej zrudziały fiolet wrzosowisk i kiście gęstych, rozsiadłych gromadnie sosenek. Kremowe, żółte i czerwone liście rozściełają na ziemi barwną makatę, lśniącą i śliską jak cerata. Z nawisłych cienkich gałązek monotonnie spadają duże krople rosy, pozatem panuje cisza. Stadko sikorek śmiga wśród gałęzi cichutko popiskując. Wysoko,

pod chmurami na rozpostartych nieruchomo skrzydłach płynie duży myszołów.

Dawno już przebrzmiała trąbka — wieszcząca ruszenie naganki, a jednak knieja milczy pogrążona w głębokiej zadumie. Wytężony słuch wdziera się w głębiny leśne, bada je, penetruje. Oto słychać daleki, przytłumiony szelest — coś idzie, coś zbliża się. Na wąskiej smudze wśród sosenek mignęła szara plama raz, drugi. Teraz widać dokładnie — to wolno, spokojnie kica szarak. Już jest na strzał. Postawił wysoko słuchy, przysiada, bada otoczenie...

Zasłania go rozkrzewiona sosenka tak, że sterczy z za niej jedynie koniec pyska. Strzelać nie można, a serce wali, tłucze się z niepokoju. Kot poruszył się, ale siedzi dalej, żeby choć nie zawrócił w gąszcza!

Nareszcie ruszył. Drobnemi skokami pędzi, biegnie wprost na stanowisko i o kilkanaście kroków przed nim załamuje się, siada, nasłuchuje. Teraz strzał. Słychać jakieś nerwowe szamotanie się, potem cisza. Niespokojny wzrok napróżno usiłuje przebić obłok otaczającego dymu.

Fala gorącej krwi oblewa twarz. Nakoniec widać. Na wilgotnych liściach, wśród roztrzęsionych wokoło białych kłaków turzycy — leży martwy stary gach. Och, jakiż piękny, ogromny! Dopiero mamusia się ucieszy, a pojutrze akurat mają być goście!

Słychać już szmer naganki, padają strzały. Myśliwi ciągną sznurem na miejsce zbiórki. On idzie także dumny, radosny, a chłopak z naganki dźwiga za nim za skoki ubitego kota, włóczącego po ziemi aksamitem zwisłych bezwładnie słuchów. Patrzą nań z przyjaznym uśmiechem towarzysze łowów, patrzą z pewną dozą podziwu zgrupowani naganiacze. Pierwszy zając!

Dwa dni bez przerwy padał śnieg. Białe miękkie puchy oblepiły pnie drzew, układły się na poziomych gałęziach, przywaliły krzaki i zarośla. Pod nawisłemi gałązkami łóz, w głębinach gąszczów świerkowych utworzyły się tajemnicze nory, jaskinie i fantastyczne groty z nawisłemi soplami ośnieżonych prętów — pięknych jak stalaktyty. Swawolny wiatr wpada w cichą, zadumaną knieję, gwiżdże wśród wierzchołków, trzęsię gałęziami, niesie białe tumany w dal, sypiąc w twarz ostrzem drobniutkich lodowych igiełek. Ciemne, zachmurzone niebo nie rozjaśnia się ani na chwilę złotym rumieńcem słońca.

Przed ganek podchodzą duże, wymoszczone słomą sanie. Myśliwi lokują się pośpiesznie i w drogę, bo ochota łowiecka rozpala im twarze, rozgrzewa serce, a naganka już czeka w gajówce pod lasem.

Na ganku grupka domowników żegna odjeżdżających. Oczy starych, osiwiałych nemrodów śmieją się wesoło ku wiotkim postaciom kobiecym, rzucającym ostatnie zdania, ostatnie wykrzykniki. Ale jedno młode męskie wejrzenie w skupieniu patrzy na wyniosłą, zgrabną figurkę, otuloną w fałdy szarego płaszczyka, z puszystym, popielatym kołnierzem. Patrzy i wreszcie spotyka tamte spojrzenie czułe, kochające, choć krótkie — rzucone młodzieńcowi na szczęście.

Konie ruszyły, rozbijając w pędzie kopytami biały puch. Szara sylwetka na ganku znikła, rozwiała się w oddaleniu. Teraz zwarta ściana lasu śmiało podsuwa się ku drodze, otaczając ją i tuląc miłośnie. Rozpędzone sanie mijają zamarznięte błotka leśne, przelatują przez kultury i drągowiny, wreszcie wjeżdżają na polankę. Stąd towarzystwo rusza już piechotą na stanowiska.

I znowu w kniei zapanowała cisza, nieprzerywana głosem żywego stworzenia. Czasami tylko wiatr dmuchnął głośniej w gałęziach sosen, lub upadł ciężko z wierzchołka duży płat śniegu.

Zagajnik sosnowy ciągnie się wąskim pasem pomiędzy obszarami starodrzewia. Tu i tam prześwieca się rzadsza luka, umożliwiająca wzrokowi zbadanie jego wnętrza, stanowiącego istną dżunglę prętów i gałęzi. Cisza. Drobne bryłki śniegu staczają się z igliwia, wprawiając je w ustawiczny ruch, drażniący wytężony w oczekiwaniu myśliwskiem wzrok. Oczy zachodzą łzami od bezustannego wypatrywania.



Pierwszy szarak Tadzia. Fot. H. Laskowiczowa.

Naganki jeszcze nie słychać, ucichło też skrzypienie śniegu udeptywanego przez sąsiada na stanowisku. Lecz co to? Nagle drgnęła w głębi niska sosenka, potem druga i trzecia. Słychać jakby kroki, drobny truchcik. Na lukę powoli wysuwa się ostra, śpiczasta morda i para sterczących uszu, potem całe długie, rude zwierzę. Mykita!

Emocja rozsadza pierś, dławi w gardle, dusi... Żeby tylko nie spudłować — tak ręce drżą. Nareszcie szybki strzał, broń do ręki i biegiem ku zaroślom. Co tam znaczą w takiej chwili kanony myśliwskie o nieschodzeniu ze stanowiska? Tu przecież idzie o lisa, o lisa — rozumiecie?

Na śniegu ślady śrutu, parę kropli krwi — nic więcej. Trafiony, ale poszedł — co za rozpacz! Lecz co tam pod krzakiem? Czyżby? Jest, naprawdę jest! Ach Boże, jak to dobrze!

Drżąca ręka obciera spocone czoło. Jasny, radosny wzrok biegnie w dal, ku szmaragdowej perspektywie boru. Lecz oczy przymglone szczęściem nie widzą teraz ośnieżonych drzew, mchami brodatych konarów. Przed niemi jawi się inny obraz: biała sukienka, mały zgrabny kapelusik, osłaniający bujne złote loki, a przez ramię zwisa cudowny żółty lis, o długiej, puszystej kicie.

A potem nastąpi chrzest — pasowanie na rycerza, na myśliwego. I nie to stare, sakramentalne, lisią farbą na czole przy dźwiękach fanfary, powtórzonej przez zamarłą w niemem oczekiwaniu knieją — pasowanie inne, milsze, w saloniku o zmierzchu sam na sam, słodkiemi, kochanemi ustami, upojnemi jak stare, wytrawne wino...

Któż z nas tych lat nie pomni!

LEOPOLD PAC-POMARNACKI



W Karpatach. Tropowce w Sołotwinie Mizuńskiej. Fot. inż. R. Troszok.

DROPIE W NIEWOLI*)

W r. 1876 zaczęłam wraz z ojcem kupować od wieśniaków, znalezione przez nich na polach okolicznych jaja dropi, zarówno wielkich dropi — Otis tarda, jak i jaja mniejszych gatunków t. zw. „średnich dropi", **) a także strepetów (dropi cyranek, jak były one nazywane przez tamtejszych myśliwych).

Zaczynając od r. 1879 do r. 1890 bez przewy zajmowałam się hodowlą dropi w naszym majątku (wieś Leontjewsk, pow. Putywelski, gubernia Kurska). Dlatego też, mając możność dokładnie poznać zwyczaje tego ptaka i sposoby utrzymywania go w niewoli, mam zamiar podzielić się swemi obserwacjami ze światem myśliwych i miłośników przyrody. Jaja wielkich dropi (Otis tarda), co do swej wielkości zajmują pośrednie miejsce pomiędzy jajami łabędzia a gęsi: jaja te są krótsze i okrąglejsze niż łabędzie i kształtem przypominają indycze, lecz wąski koniec mają mniej zaostrzony. Skorupę mają twardą o bardzo ciemnym kolorze. Zdarzały się nieraz wypadki, że indyczki i kurykwoki bały się wysiadywać te jaja. Niezawsze jednak mogłam wkładać do gniazda jaja gęsi, które dzięki swej białości łagodziły odstraszającą ciemną barwę jaj dropi, ponieważ pisklęta gęsi wylęgają się zazwyczaj znacznie wcześniej — już w marcu, kwietniu lub maju, czerwcu, a nawet w lipcu w północnych częściach swego zasięgu. Jaja dropi mają zielono-szary, czasem zielono-burą barwę. Są przytem pokryte ciemnemi plamkami i kropkami. Jaja mniejszych gatunków dropi, „średnich dropi" są mniejsze od jaj Otis tarda — mniej więcej są one tej samej wielkości co jaja gęsi, natomiast jaja strepetów są jeszcze mniejsze — trochę większe od indyczych, lecz kolor posiadają taki sam, jaki mają jaja większych dropi.

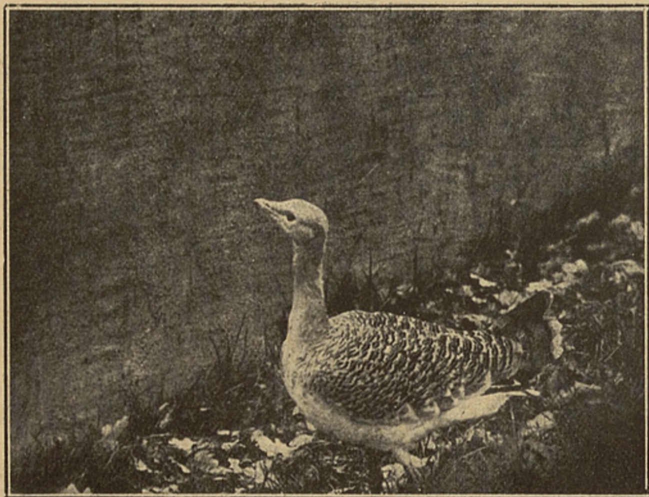
Dość często udawało mi się osobiście znajdować w owsianem albo w żytniem polu, a parę razy nawet w tymotce w stepie jaja dropi. Leżały one w niewielkiem wgłębieniu, wyrównanem i zaokrąglonem, które stanowiło coś w rodzaju gniazda. Jaja te zawsze były ciemnej barwy. Jedyny raz w całem mojem życiu przyniesiono mi jedno jajo, które było jeszcze większe od jaj Otis tarda, jeszcze bardziej owalnego kształtu, jaskrawej jasnolazurowej barwy i bez żadnych plamek. Byłam poprostu zachwycona swoją zdobyczą i odrazu podłożyłam to jajo pod indyczkę. Oryginalna barwa tego olbrzymiego jaja bardzo mnie zadziwiła, więc pokazałam je ojcu, zapalonemu i doświadczonemu myśliwemu, który w swojem życiu upolował sporo dropi i innej zwierzyny. Nawet ojciec podziwiał cudowną barwę jaja i przyznał mi się, że nigdy nie spotkał jaj takiej wielkości i barwy. Niestety, nie zobaczyliśmy pisklęcia, wylęgniętego z tego oryginalnego jaja. Minął miesiąc, jeszcze nic się nie wykluło. Przeczekałam jeszcze tydzień bez żadnego rezultatu i postanowiłam zbadać lazurowe jajo. Miałam pewne doświadczenie w dziedzinie hodowli ptaków. Kiedy wyjęłam jajo z pod kwoki, odrazu poznałam, że nie zawiera ono żywego pisklęcia, gdyż nie wydziela odpowiedniego ciepła, więc stłukłam je i znalazłam martwe, lecz nie zepsute i prawie wykształcone pisklę dropia. Pisklę było wielkie i znacznie ciemniejsze i bardziej brązowej barwy, niż zazwyczaj bywają niedawno wykształcone pisklęta dropi. Naturalnie nie wiem, do jakiego ptaka należało to jajo. Wieśniak,

*) Podajemy ciekawy przyczynek do hodowli dropi zaczerpnięty z miesięcznika „Psowaja i Rużejnaja Ochota", wrzesień, 1905 r.

**) Niewiadomo co autorka nazywa średniemi dropiami". Istnieją w Europie dwa gatunki dropi — drop zwykły — Otis tarda i drop karzelek — strepet — Otis tetrax.

który mi je sprzedał, twierdził, że z gniazda podniósł się olbrzymi drop. Konsystencja skorupy, jej twardość, oraz wygląd martwego pisklęcia pozwalał mi wywnioskować, że jest to jajo dropia, należącego do mało znanego i rzadkiego u nas gatunku. Kiedy kończył się okres wysiadania, który u dropi normalnie trwa od 30 do 32 dni a czasem i więcej, pisklęta zaczynały dawać znaki życia, gdy były jeszcze w jajach — rozlegał się czasem wesoły i cieniutki, a nieraz żałosny, przeciągły odgłos.

Na drugi dzień pisklęta wykluwały się z jaj i jeszcze przez parę dni pozostawały pod kwoką.



W Berlińskiem Zoo. „Już się przyzwyczaiłem".

Puchowe opierzenie piskląt jest włochate i pstre. Na jasno żółtem tle rozrzucone są brązowe albo żółtoszare plamy. Po upływie jednej doby pisklęta zaczynają już wychylać główki z pod kwoki i otwierać dziobki. Korzystałam z tej okazji, żeby wkładać im do dziobków drobne owady: zazwyczaj niewielkiego zielonego konika polnego, którego pisklęta prędko z przyjemnością połykały i wesoło popiskiwały. Próbowały już wkrótce nawet chodzić, lecz słabe nóżki nie mogły wytrzymać ciężaru ciała i pisklęta padały. Dopiero po paru dniach na tyle przybywało im sił, że mogły bez trudu chodzić za kwoką. Z początku pokarm piskląt składał się tylko z żywych owadów: koników polnych, których łapały one wielkie ilości, a także chrabąszczy i innych owadów. W miarę rozwoju piskląt oprócz owadów otrzymywały one jeszcze bardziej dla nich odpowiedni pokarm, jak drobne kręgowce np. różne jaszczurki, a także rzepak, sałatę, koniczynę, pozatem świeży twaróg, chleb, liście kapusty, liście innych warzyw, jak brukiew, botwinka. Botwinki obawiałam się jednak dawać w większej ilości i tylko dodawałam ją jako przysmak i nie zauważyłam, żeby zadawana w małej ilości szkodziła moim wychowankom. Trzymając się wskazówek ojca, według twierdzenia którego w żołądku zabitych przez niego dropi znajdowały się przeważnie liście i kwiaty rzepaku i gryki, karmiłam swoje pisklęta w okresie 2-3 i do 6 miesięcy przeważnie rzepakiem, dodając chleba, gryczanej kaszy, twarogu, surowego mięsa i t. p. W okresie 4 miesięcy dropie zazwyczaj wypierzały się całkowicie. Były zupełnie oswojone i spokojnie spacerowały na wolności. Przy spotkaniu z innym jakimś domowym ptakiem przyjaźnie go zaczepiały. Wogóle z czasem robiły się poważniejsze i dumnie przechadzały się po podwórzu i po wielkiej zagrodzie. Idąc za poradą ojca, czasem chodziłam z niemi na spacery do dalej położonych ogrodów, gdzie było dużo koników polnych, oraz na wielkie łąki bardzo dla dropi dogodne. Czasem trzeba było w towarzystwie dropi odbywać parę wiorst spaceru. Spacery te odbywały się naturalnie w wolnych od gospodarskich zajęć chwilach we wrześniu i w październiku, gdyż trwały nieraz około 5-6 godzin. Zazwyczaj kroczyłam na czele pochodu i wołałam dropie. Ptaki, nie spuszczały ze mnie oczu, chętnie szły za mną. Trzeba zaznaczyć, że nie trzymały się w stadzie, jak czasami czyni nasze domowe ptactwo, lecz szły gęsiego. Z tyłu za dropiami, których zazwyczaj było od 12-15 sztuk, na wszelki wypadek podążała, odprowadzając mnie, młoda dozorczyni drobiu i staruszka-niania, która chodziła do towarzystwa, ze względu na miłość, żywioną w stosunku do mnie. Dropie zawsze i wszędzie spokojnie spacerowały na wolności.

Otwarta przestrzeń jest nieodzowną dla tego ptaka, przeto też zapewnialiśmy dropiom odpowiednie warunki bytowania. Wszystko składało się bardzo pomyślnie: na łączkach, na słońcu dropie często kładły się, rozkładając skrzydła. Przychodziły również na moje wołanie i wtedy dawałam im czasem chrabąszcza, czasem konika polnego, czasem szklarza albo smakującą im roślinę. Źle było tylko wówczas, kiedy dropie na tej przestrzeni zdaleka zobaczyły psa. Pies wywołuje u tych ptaków paniczny strach. Wtedy rozbiegały się i rozlatywały na wszystkie strony tak, że później trudno było je zebrać. W tych wypadkach wszystkie trzy wyruszałyśmy na poszukiwania—każda w inną stronę. Pomagało nam to, że dropie na nasze nawoływanie, odpowiadały żałosnym kwileniem, który nazywałyśmy płaczem. Ten żałosny płacz wydają dropie już w dzieciństwie, jeżeli czasem kwoka nadepcze pisklęciu na łapkę, albo kiedy maleństwo jest głodne lub zastanie je deszcz. Do domu wracałyśmy zazwyczaj w takim samym porządku do wielkiej zagrody gdzie mieściły się dropie. Na początku mych doświadczeń, kiedy jeszcze niedostatecznie poznałam charakter tych ptaków, często zdarzały się różne niepowodzenia. Czasami trzymałam moje dropie, przeważnie w zimie, na podwórzu, gdzie spokojnie spacerowały razem z innnem domowem ptactwem, lecz jak tylko chociażby w oddali zjawił się pies, dropie w popłochu uciekały z podniesionemi głowami, przyczem nie zwracały uwagi na otoczenie i często się zdarzało, że uderzały się o sanie albo o inny jakiś twardy przedmiot i kaleczyły sobie nogę albo skrzydło. Trzeba było niezwłocznie bandażować i opatrywać złamany członek i ujmować go w łupki. Chorego dropia należy trzymać dość długo osobno, czasem miesiąc lub dwa, poczem ptak jeszcze coprawda kulał, lecz wkrótce zupełnie przychodził do zdrowia. Wogóle dzięki własnemu doświadczeniu przyszliśmy do przekonania, że dropie mają kości delikatniejsze i łatwiej łamliwe niż u innych ptaków. Wiele też młodych dropi pożarły mi różne drapieżniki. Czasami się zdarzało, że przynoszono do nas dropie w różnym wieku, lecz one jednakowo prędko się oswajały — zarówno półwyrośnięte, jak i całkiem wypierzone.

Ludzi nie bały się wcale, nieznajomych czasem dziobały w buty albo w ubranie, szczególnie agresywne były dorosłe samce na wiosnę. Dropie naprawdę do ludzi, którzy opiekowali się niemi, przywiązywały się, w większym stopiu niż domowe ptactwo.

Rozróżniały mój głos wśród głosów innych ludzi, wesoło mi odpowiadały i wogóle przejawiały wyraźne oznaki rozumu. Jak tylko mnie zobaczyły, radośnie przybiegały do stóp i patrzyły mi w twarz, a kiedy machałem białą chusteczką, wtedy dropie odrazu zaczynały skakać koło mnie; podfruwały w radosnych podrygach, rozpościerały skrzydła i poprostu tańczyły. Taniec dropi, mojem zdaniem, jest nawet ciekawszy od rytuału tanecznego żórawi. Jeżeli prędko odchodziłam od nich, wtedy te miłe ptaki zaczynały żałośnie, przeciągle kwilić wydając dźwięki podobne do płaczu. Dropie do drobniejszych od nich ptaków odnosiły się dobrodusznie. Często się zachwycałam widokiem, kiedy w zimie dropie i oswojone kuropatwy spa-

cerowały razem. Nigdy nie widziałam, żeby drop skrzywdził kuropatwę, lub innego drobnego towarzysza swych spacerów.

Co się zaś tyczy ilości jaj w gnieździe, muszę powiedzieć, że u Otis tarda w rzadkich wypadkach trafiało się po 2 jaja, zazwyczaj zaś w gnieździe znajduje się tylko jedno. W gnieździe średniego dropia najczęściej bywa 2 jaja, rzadko 3. Najmniejsze dropie strepety przeważnie normalnie maja w gnieździe 3 jaja. Nieraz coprawda spotykają się gniazda dropi nawet z czterema jajami, lecz przypuszczam, że wtedy dwie samice jednocześnie zagospodarowały się w jednem gnieździe. Drobniejsze gatunki dropi przystępują do lęgów wcześniej, w każdym bądź razie w naszej miejscowości w końcu kwietnia. Wylęgują czasem pisklęta, które już w lipcu są całkowicie prawie wypierzone, podczas gdy u Otis tarda znajdowano czasem w sierpniu i wrześniu pisklęta jeszcze nieopierzone. Pewnego razu w końcu kwietnia przyniesiono do mnie tak małego dropia z rodzaju strepetów, lecz już całkiem wypierzonego, że wzięłam go za pisklę z wczesnego wylęgu. Dziwiłam się tylko, skąd tak wcześnie mogło być już zupełnie opierzone. Wieśniak, który przyniósł dropia, twierdził, że znalazł go na gnieździe na 3 jajach, które równocześnie mi sprzedał. Jaja podłożyłam niezwłocznie pod kwokę, a dropia, którego uważałam za bardzo wczesne pisklę umieściłam w dużej drucianej klatce, przypuszczając, że będzie się bał ludzi i ucieknie. Wokoło tej klatki chodziły jeszcze maleńkie oswojone dropie, które karmiłam owadami. Wkrótce potem nowy drop, zauważywszy, że znajduje się w królestwie krewniaków, że naokoło niego małe dropie żyją spokojnie, nie boją się ludzi i nawet pokarm przyjmują z ich rąk, uspokoił się i nawet zaczął zbliżać się ku drzwiom klatki, kiedy karmiłam dropią młodzież. Zauważywszy to, otworzyłam klatkę i dałam mu parę koników polnych. Drop prędko złapał jednego z nich, rozbił mu dziobem głowę, lecz nie zjadł, a trzymając go w dziobie zwoływał małe dropie, chodzące na wolności swoim skrzypiącym dźwiękiem, podobnym do nawoływania, jakie wydaje samica pawia wabiąca swe pisklęta. Spróbowałam wtedy wpuścić do klatki małego dropia i tamten zaczął go karmić. Natomiast ten mały dorosły drop wkrótce przywykł do innego pokarmu i był o tyle oswojony, że mógł znajdować się na swobodzie. W nocy starannie rozkładał skrzydło i ogrzewał dropięta które dopuściłam do małej samiczki naumyślnie. Okazało się to dla mnie bardzo pożądanem, gdyż indyczka, która wysiedziała jaja, należące do mojej nowej pupilki, niespodziewanie zdechła, a inne nie chciały przyjąć małych sierotek w grono swych dzieci i już zaczynałam się martwić czy zdołam je wychować.

Chwytanie dropi żywcem odbywa się w sposób następujący. Na dorosłe dropie stawiano metalowe wnyki, zrobione z żelaznego lub miedzianego drutu, na długim sznurze 25 i 35 metr. długości. Te pętle zazwyczaj ustawiano w tymotce, koniczynie albo wogóle w trawie. Sama osobiście często zapędzałam dropie do wnyków. Jechałam stępa w powozie, a fornala wysyłałam piechotą gonić z drugiej strony. Raz udało się nam złapać olbrzymiego zupełnie dorosłego samca z wąsami i brodą.

Kiedy fornal uwolnił go z pętli, a ja patrzałam z powozu, drop z taką siłą uderzał go dziobem, że o mały włos nie wydziobał oczu.

Reszta dropi naturalnie odleciała, jak tylko pośpieszyliśmy do złowionego w pętlę samca. Przez całą drogę zachwycałam się cudownym okazem, jaki udało się nam złapać. Jeńca wpuszczono do dużej zagrody dla dorosłych oswojonych dropi, przedtem obciąwszy mu końce lotek na jednem skrzydle. Z początku drop zachowywał się niespokojnie, lecz wkrótce zaprzyjaźnił się ze swymi kolegami. W przeciągu miesiąca samiec-drop tak się oswoił, że brał chleb z rąk mojej niani. Naturalnie przyzwyczaił się do tego powoli: z początku zaczął podchodzić bliżej, wtedy rzucano mu chleb, drop zbierał go i wkrótce odważył się podchodzić do ludzi. Chociaż dropie wcale nie okazywały strachu przed ludźmi, jednak byliśmy zmuszeni trzymać dorosłe okazy w specjalnie dla nich zrobionej olbrzymiej zagrodzie, gdyż ptaki te ogromnie bały się psów. W tej zagrodzie znajdował się olbrzymi staw, w którym hodowano czarne australijskie łabędzie i różnorodne gatunki zarówno domowych jak i dzikich kaczek. W zagrodzie tej dropie miały wielką swobodę, gdyż ani łabędzie, ani kaczki nie przeszkadzały im i one też żyły w przyjaźni ze wszystkiemi swemi współmieszkańcami. W zimie dropie rozlokowywało się w dużej szopie, w stajni, część zaś w oddzielnem pomieszczeniu. Karmiłam je w zimie w braku rzepaku świeżą kapustą, sałatą, chlebem, kaszą i twarogiem. Dotychczas mam jeszcze niewielką hodowlę leporydów i belgijskich królików. Część króliczego przychówku trzeba niszczyć przy urodzeniu, więc próbowałam dawać ślepe różowe króliczęta dropiom, które z wielkim apetytem jadły świeże posiekane mięso. Również dawałam dropiom świeże mięso wołowe w niewielkiej ilości, chociaż nieboszczyk ojciec twierdził, że ani razu nie znajdował mięsa w żołądkach zabitych przez niego okazów. W celu zapewnienia dostatecznej ilości letniego i jesiennego pokarmu, ojciec zasiewał w kilku miejscach w przeciągu wiosny i lata rzepak. Dlatego też zawsze miałam poddostatkiem tej najbardziej odpowiedniej i najlepszej dla dropi karmy. Zwrócę uwagę pozatem na niewątpliwą omyłkę Brema, który twierdzi, że dorosły drop żywi się nasionami i ziarnem. W dzikim stanie dorosłe dropie żywią się przeważnie zieleniną; natomiast nigdy nie spostrzeżono, żeby jadły ziarno, może tylko spożywają je przypadkowo, lecz ich naturalny pokarm stanowią zielone, delikatne części roślin. Miałam możność zauważyć, że pisklęta dropi czasem dziobią konopie i hreczkę, lecz w niedużej ilości. Do pokarmu im jednak tego nie dawałam, kierując się długoletniemi obserwacjami mego ojca.

Z danego szkicu widać, jak łatwo wogóle oswoić można dropie i jak należy hodować je w niewoli. Lecz dla dropi przedewszystkiem potrzebny jest jeden warunek, a mianowicie — wielka swoboda, bez której nie mogą istnieć. Dlatego też nie można trzymać tych ptaków w takich miejscowościach, gdzie staje temu na przeszkodzie zbyt gęste zaludnienie.

W. CZEREPOWA
przełożyła z rosyjskiego
MUZA LINDEMANN.

POLSKIE BIEGI MYŚLIWSKIE ŚW. HUBERTA

Na ziemiach starego i bogatego Albionu, który wyprodukował ideał konia myśliwskiego, polowania konne t. zw. par force, przetrwały do dzisiaj w całej swej okazałości. Odbywają się one tam przez całą jesień i zimę. Jest to pogoń za wytropionym jeleniem, danielem, dzikiem, lisem lub zającem. Sport niezwykle pociągający, pełen czaru i powabu, ze sforami wytresowanych psów, których ujadanie jest najmilszą muzyką dla ucha myśliwskiego. Biorąc jednak pod uwagę hodowlę specjalnych koni do polowania, t. zw. hunterów, utrzymanie sfor psów, odpowiedniej służby, wreszcie koszty wyrządzonych szkód, gdyż kawalkada myśliwych pędzi kędy zmyka jeleń, lis czy zając, a zwierz ten, salwując się przed pogonią, nie bierze pod uwagę ewentualnych zniszczeń w terenie — stwierdzić należy, że ten rodzaj polowania, a raczej gonitwy, jest kolosalnie drogi. Mówię „raczej gonitwy", gdyż w biegu tym, nie idzie tyle o zwie-

rzynę, ile o wykazanie najwyższego stopnia sztuki w opanowaniu konia przez jeźdźca i brania wszystkich przeszkód, które po drodze natrafia myśliwy, pędząc za zwierzem, szczutym przez psy.

Gonitwą łatwiejszą, tj. niejako drugiego stopnia, jest bieg również z psami, ale psy te gonią naprzód już nie za żywym zwierzem, ale za powłoką, tj. za sztucznym, wietrznym śladem, pozostawionym przez



włóczoną przynętę, a myśliwi konno za tymi psami. Oczywiście odpada tu już ten naturalny urok gonienia w prawdziwych sytuacjach jakie powstają na polowaniu za żywą zwierzyną.

Polowania te przeszły z Anglii do Francji ,gdzie też odbywały się i odbywają przez szereg miesięcy w dowolnych dniach. Obowiązkowymi jednak stały się te biegi w dniu 3 listopada, poświęconemu św. Hubertowi, patronowi myśliwych.

Ten rodzaj konnego polowania dotarł i na nasz teren, ale już w mocno zmienionej formie, bez zwierzyny i całkowicie niemal bez psów myśliwskich *). A wpłynęły na to nasze stosunki, a w głównej mierze ograniczone możliwości finansowe. Urządzamy więc biegi myśliwskie św. Huberta za papierem lub trocinami, gdy drogę gonitwy wskazują rozrzucone skrawki różnokolorowego papieru lub rozsypane trociny; wreszcie istnieją biegi za mastrem. Ten ostatni rodzaj biegu, będący namiastką polowania z psami, jest u nas najpopularniejszy i najłatwiejszy: master jedzie pierwszy, a wszyscy za nim; zwycięża ten, kto pierwszy dotrze do mety lub upoluje „lisa".

Udział w tych rozpowszechnionych biegach, które odbywają się na tle złoto-zielonego krajobrazu jesiennego, głównie 3 listopada, jako w dniu św. Huberta, bierze tradycyjnie udział polska kawalerja, oficerowie i podoficerowie. Wśród szarych mundurów oficerskich widnieją tu i ówdzie czerwone fraki lub ciemne surduty jeździeckie panów cywilnych i wdzięczne sylwetki amazonek; tak jak na starych sztychach angielskich. Partycypuje też w biegach myśliwskich św. Huberta Sokół konny i cywilne kluby jeździeckie.

Master prowadzi bieg myśliwski poprzez urozmaicony teren, przez orne pola, poprzecinane rowami z wodą, łąki, lasy, drogi, na których jeżą się przeszkody, poprzez opłotki i zagradzające leśne dukty szlabany. A jeźdźcy lecą jak ptaki. Grzmi ziemia, pryskają grudy z pod kopyt. Z koni bucha para. Liście i gałęzie chłoszczą po twarzy. Dość ciężki teren, ostre tempo, dużo zakrętów i spora zwykle ilość przeważnie jeźdźców-myśliwych, powodują liczne upadki, ale św. Hubert opiekuje się kawalerzystami. Pędzą dalej, by dopaść czmychającego lisa i zdobyć w nagrodę jego piękny, puszysty ogon, a przejazd ich sygnalizują donośnie trębacze rozmieszczeni na pagórkach. Lisem tym jest ustawiony przez mastra na trasie biegu, w odległości do 16 nawet kilometrów, jeździec z lisim ogonem, przyczepionym na ramieniu. Chwałę króla polowania otrąbiają „urbi et orbi" po całym lesie.

A wówczas występuje np. mjr. Gołaszewski i odczytuje wspaniały pergamin, stanowiący nagrodę dla zwycięzcy:

„W uroczystym Świętego Huberta dniu, w przytomności licznych, a nadobnych białogłów, dowódców, wyższych oficerów oraz całego kawaleryjskiego Pierwszego Szwadronu towarzysz Leon Kozłowski po przebyciu przeszkód mnogich i trudności wielu zwalczeniu, lisa w głębi boru ukrytego odnalazł i w triumfie przyniósł, za co Zgromadzenie Prześwietne mu dyplom niniejszy przez ręce Komendanta Szkoły wręczyć na wieczną pamiątkę postanowiło".

Tak się działo, gdy najmłodsi kawalerzyści z Grudziądza obchodzili dzień św. Huberta w 1934 roku. Młodzieńczy zapał i ambicja myśliwska dopięły swego.

Po każdym biegu następuje, utartym w Polsce zwyczajem, na murawie zasypanej ulewą złotych liści, bigos myśliwski, ten Mickiewiczowski z „Pana Tadeusza":

„W kociołkach bigos grzano. W słowach wydać trudno
Bigosu smak przedziwny, kolor i woń cudną.
— — — — — — — — — — —
Miedź grzmi, dym bucha, bigos jak kamfora ginie,

*) Psy myśliwskie do polowania par force, tzw. „foxhoundy", ma dziś Łańcut, Pomorzany, 17 p. ułanów, Podkarpacie Koło Jazdy Myśliwskiej, Podolski Klub parforsów w Chorostkowie, a od szeregu dopiero miesięcy Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu. (Przyp. autora).

Zniknął, uleciał; tylko w czeluściach saganów
Wre para, jak w kraterze zagasłych wulkanów".

Wśród ogólnej wesołości, werwy i „myśliwskiej gwary" czas szybko mija. Sypią się iskrzące dowcipy, jak dunst z śrutownicy. Na piersiach zawisają pamiątkowe podkówki czy też żetony. Opuszcza wiara leśne parkiety, z kujawiaczkiem wraca do domów, a zrzuciwszy strój leśny zbiera się w dużej sali dancingowej.

Wspomnienia z dnia św. Huberta pozostają długo, aż do nowej jesieni, do dnia 3 listopada.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

KOMUNIKAT Z PRÓB POLOWYCH WYŻŁÓW DOWODNYCH URZĄDZONYCH PRZEZ ZW. HODOWCÓW WYŻŁA SZORSTKOWŁOSEGO W POZNANIU, SEKCJA KYN. W. Z. M.



Grupa uczestników prób polowych wyżłów dowodnych, urządzonych przez Związek Wyżła Szorstkowłosego.

Podając do wiadomości wyniki prób polowych z dnia 5.IX. 1938 r. które, odbyły się w majątku Roszkowo pow. Wągrowieckiego musimy zaznaczyć, że pogoda w tym roku nam nie sprzyjała, mokre było wszystko, każde źdźbło było pokryte obfitemi kroplami — pozostałość nocnej ulewy — do tego sytuację pogarszał drobny kapuśniak, który parę razy rozpoczynał siać, z tego też powodu wyżły nie mogły pokazać pełni swej wartości.

Zbiórka była wyznaczona o godz. 9-tej na stacji kolejowej Roszkowo, próby rozpoczęły się o godz. 9,30, tuż w pobliżu st. kolejowej na terenie majątku Roszkowo.

Całe łowisko to jest teren wymarzony, może służyć schroniskiem rozmaitej zwierzyny, las i mnóstwo zagajników przeplatanych polem, łąkami i małemi jeziorkami, wogóle teren, który z czasem może się stać rajem zwierzyny.

Zebranych gości, menerów i delegatów Wągrowieckiego Koła Myśliwych powitał Prezes Sekcji Kynologicznej W. Z. M. Pan Jan Kurnatowski, podkreślając ważność dla hodowli wyżła dowodnego prób, urządzanych rok rocznie począwszy od 1922 roku przez Wielkopolski Związek Myśliwych i później przez Sekcję Kynologiczną W. Z. M. „Związek Hodowców Wyżła Szorstkowłosego", który to objął tą dziedzinę myślistwa i stara się przez odpowiedni dobór reproduktorów o ulepszenie wyżła dowodnego.

Ze zgłoszonych 12 wyżłów stawiło się do konkursu 8 — prawie wszystkie młode — niektóre nawet dla tego rodzaju prób za młode.

Komisja sędziowska w składzie — Prezesa Sekcji Kynologicznej J. Kurnatowskiego, N. Dutkiewicza, sekretarza Sekcji Kynologicznej, Al. Gaponowa i w asyście Al. Zellobera za najlepsze wyżły, zasługujące na miano wyżłów dowodnych, uznała:

Hero z Boreczka; Astora z Bukowca oraz Dinę v. Bruchhof, prócz tych 8 wyżłów nagrodzonych, które zajęły pierwsze miejsca, za dowodne, można uznać Katię z Wąsowa i Argo z Bukowca, jednak wyniki ich punktacji były niedostateczne i nie mogły one zająć wskutek tego odpowiedniego miejsca.

Reszta to jeszcze niegotowe młode wyżły, wśród których wyróżniła się Ara z nad Czarnego Jeziora zapowiadająca się na wybitnego wyżła dowodnego, w punktacji zajęła 4 miejsce i pomimo to, że ta młoda wyżlica nie jest gotowa Komisja Sędziowska przyznała jej pieniężną nagrodę.

Według punktacji, która z powodu niepomyślnej pogody, i wynikającej stąd konieczności skrócenia pracy w niektórych działach, przedstawiała się przy maksimum możliwych punktów w sumie 188, osiągnęły wyżły miejsca w następującej kolejności:

I. miejsce — Hero z Boreczka, wyżeł dobrze zbudowany nakrapiany w brązowe łaty, urodzony 27.III.1936 r., syn Magdy Ks. Rod. Nr. 1. i Assa Ks. Rod. Nr. 3 — prowadził leśniczy P. Kaatz, osiągnął 174 p. Ten wyżeł jest bardzo dobry, z dobrym nosem i dobrymi chodami, ładnie wystawia i dobrze aportuje, cięty na drapieżniki, w wodzie czuje się jak w swoim żywiole. Mener leśniczy P. Kaatz otrzymał nagrodę zł. 50.—.

II. miejsce zajął Astor z Bukowca — brązowy wyżej i dobrze zbudowany, urodzony 11.XI.1936 r. Ks. Rod. Nr. 27/38, osiągnął 167 punktów. Ten wybitny wyżeł mający krew po Ingo z nad Gopła mógłby zająć I. miejsce, gdyby nie wykazał niedostatecznej ciętości, ponieważ nie zadławił kota, lecz tylko osadził i z tego powodu zamiast uzyskać 16 punktów uzyskał tylko 4, winę za to ponosi mener, ponieważ, jak widać wyżeł od dłuższego czasu nie miał do czynienia z kotem. W polu jak i na wodzie Astor pokazał się jaknajlepiej, mener leśniczy L. Pieprzyk jako nagrodę otrzymał za niego zł. 50.—.

III. miejsce i nagrodę 30.— zł. uzyskała Dina urodzona 21.III. 1936 r. Ks. Rod. Nr. 22/38, brązowa wyżlica importowana szczeniakiem z Niemiec, osiągnęła 160 punktów, występowała już w zeszłym roku na 3 konkursach, prowadził leśniczy B. Poczta.

IV. miejsce zajęła przy 136 punktach Aza z nad Czarnego Jeziora urodzona 27.VII.37 r po Sencie Ks. Rod. Nr. 18/36 i Tropie Ks. R. Nr. 16/37. — dobrze zbudowana, posiada dużo temperamentu, bardzo dobrze szuka, robi dobre stójki, może być na przyszły rok wybitnym wyżłem dowodnym, ale nie jest jeszcze gotowa, pomimo to Komisja Sędziowska dla zachęty przyznała jej nagrodę w sumie 20.— zł. Prowadził leśniczy F. Ciupiński.

V. miejsce przy 130 punktach zajął Argo z Bukowca urodzony 11.XI.1936 r. po Kati Ks. R. Nr. 9/36 i Lordzie z Roscinna, maści popielato-brązowej, sumienny pracownik i może osiągnąłby wyższą punktację, żeby nie fatalna pogoda, co zaznaczyliśmy na wstępie, jako pocieszenie mener otrzymał 10.— zł. Prowadził leśniczy B. Poczta.

VI. miejsce zajęła Katia z Wąsowa Ks. R. Nr. 9/36, przy 115 punktach, wyżlica ta jest bezwarunkowo lepsza, niż to wykazały wyniki konkursu, bo w niektórych działach straciła wiele punktów; jako pocieszenie mener otrzymał zł. 10.—, prowadził leś. Pieprzyk.

VII. miejsce zajął Czang, brązowy wyżeł urodzony 30.XI. 1937 r., prowadzi leśniczy Bańka; uzyskał 91 punktów, wyżeł jeszcze zupełnie niegotowy do konkursu, oprócz tego nie wyróżnia się swemi walorami, może być sumiennym robotnikiem i dobrym tropowcem, mener otrzymał zł. 10.— jako zwrot kosztów podróży.

VIII. miejsce zajęła wyżlica Erna urodzona 30.VII.1937 r., prowadzi mener M. Siudzik, uzyskała 90 punktów, zupełnie niegotowa do prób wyżłów dowodnych, dużo z nią mener będzie jeszcze miał roboty; ponadto wyżlica ta nie ma pasji do wody, z tego powodu powstaje wątpliwość, czy będzie kiedy dobrym pracownikiem na wodzie. Mener otrzymał zł. 10 jako zwrot kosztów podróży.

Na tem miejscu pozwalamy podziękować właścicielowi majątku Roszkowo Dr. Cz. Dziembowskiemu za udzielenie terenu do popisów konkursowych naszych wychowanków.

A. GAPONOW
Sekretarz „Związku Hodowców Wyżła Szorstkowłosego"
Sekcja Kynologiczna W. Z. M.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa